



Dragon Ball Fan Fick

by yui-chan

Rozdział IV

Mistrz świątyni na wyspie Papaya był wniebowzięty. Widział skandujące tłumy, widział mnóstwo podekscytowanych dzieci... a to wszystko oznaczało jedno: pieniądze. Jego poprzednik nigdy by się nie zgodził na tego typu zmiany, jednak teraz może oglądać turniej jedynie z zaświatów – tradycja ustąpiła na rzecz nowoczesności i to, co wcześniej było rozgrywanym raz na kilka lat wydarzeniem, wkrótce zmieni się w nigdy nie zasypiający park rozrywki i przyniesie całej wyspie wielkie dochody.

- Spisałeś się staruszk. – poklepał Satana po plecach. – Wejście z tobą do spółki to był znakomity pomysł.

Mężczyzna uśmiechnął się szelmowsko.

- Co jak co, ale na robieniu show znam się doskonale. I na trzymaniu kasy, hahaha. – zaśmiał się rubasznie i odwzajemnił klepnięcie, aż mnichowi strzyknęło w kościach. Mimo, że nie znał ki i nie mógł równać się z prawdziwymi wojownikami, Satan nadal był całkiem silny jak na zwykłego śmiertelnika.

- Masz swoich faworytów? – zagadnął go mnich.

- Jesteśmy organizatorami, nie wolno nam obstawiać. – odpowiedział, nie bez żalu. – Gdybym jednak mógł... – rzucił okiem po zawodnikach, których właśnie prezentował spiker.

– Tamta blondynka. – wskazał palcem C18, która wyglądała na znudzona. Przepych nowej formy turnieju nie robił na niej wrażenia.

- O, i ten. – pokazał trójkiego wojownika, który wydawał się być skupiony i zdeterminowany. Mnich pokiwał głową w geście zrozumienia. Obydwie postaci znane były z poprzednich edycji turnieju.

- A twoja wnuczka?

- O tak, hahaha. – znów użył scenicznego śmiechu dawny wieloletni champion. – Też z pewnością zajdzie wysoko. Tym bardziej, że nie ma tu... no wiesz.

- Goku i tego drugiego, o którym mówiłeś, tak?

Satan przytaknął.

- To nawet i lepiej. – stwierdził mnich. – Nie wiem, czy to twoja zasługa, ale lepiej trochę faworytów zostawić na kolejne edycje. Tak oglądalność będzie większa. – wskazał na

unoszący się daleko w górze sterowiec, z którego turniej był relacjonowany na żywo do wszystkich krajów świata.

- Jasne, że moja! – Satan uśmiechnął się w wyćwiczony sposób i pokazał znak zwycięstwa, choć w ogóle nie miał pojęcia, co odciągnęło obrońców Ziemi od turnieju. Oby tylko nie kolejny silny złoczyńca, martwił się... dobrze, że już przeszedłem na emeryturę.

- A ten, to kto? – mnich wskazał na mężczyznę skrytego za kaskiem z przyciemniana szyba, noszącego czerwoną pelerynę.

- Poczekaj aż dzieciaki to zobaczą. – odpowiedział Satan i uśmiechnął się półgębkiem.

- To już wszyscy zawodnicy! – zagrział głos komentatora. – Ale to nie koniec atrakcji! Przed nami występ... – budował napięcie przedłużając pauzę –Niesamowitego Saiyamana!

Powitajmy go oklaskami!

Dzieci podskakiwały w zachwycie, aż rodzice musieli uważać, by ich pociechy nie wypadły z trybun. To sprawiało, że Satan się uśmiechał. Na tym turnieju zarobi sporo pieniędzy.

Tylko mała Pan nie podzielała tego entuzjazmu, choć była oddaną wielbicielką superbohatera. Zbliżało się losowanie pierwszych walk, a jej taty nadal nie było.

Potężny kopniak z brzuch poderwał Gohana do góry i posłał daleko w niezmiennie białą przestrzeń. Jeszcze pchany siłą rozpędu zrobił salto i, zwalczywszy prawa dynamiki, zatrzymał się w locie, wyrzuciwszy kończyny na boki.

- Ha! – dobiegł go krzyk z poziomu gruntu i fala energii uderzyła o tarczę, którą zdążył postawić w ostatniej chwili. Choć atak nie zrobił mu krzywdy, to czuł na policzkach dotkliwe pieczenie gorąca.

Przeciwnik, drugi Gohan, wykorzystał szansę i pod osłoną eksplozji wystrzelił z powietrze, skryty w ślepy punkcie i przyszykował mocny cios prawym prostym. Gdy tylko energia rozwiała się, o centymetry od jego wroga, posłał pięść tam, gdzie powinna być jego twarz. Niemalże trafił.

Gohan był już przygotowany na atak i zanurkowawszy pod ramieniem swojego sobowtóra, zdzielił go bolesnym ciosem w wątrobę, by chwilę później pociągnąć pięść do góry na spotkanie z twarzą rywala.

Teraz to on leciał w dal, ciśnięty siłą uderzenia.

- Masenko! – krzyknął Gohan, zamiast lecieć za nim. – potężny, ciągnący za sobą ogon niczym kometa, atak dogonił swój cel i powietrze aż zapłonęło od wybuchu.

Gohan, zmęczony walką, opadł na ziemię i przetarł czoło dłonią.

- Ufff... – westchnął.

Wtedy zza pleców dobiegł go grzmot i zdążył się odwrócić akurat po to, by zobaczyć rozpędzony ponad prędkość dźwięku szczyt kopuły, okalającej przejście do ziemskiego wymiaru, który zmierza mu na spotkanie.

Nie miał czasu, by wykonać unik.

Nie miał czasu, by wykonać jakikolwiek ruch.

Skąła zderzyła się z nim wzbijając w powietrze chmurę szarego pyłu.

- Hia! –twarda niczym stał dłoń wyłoniła się zza chmury pyłu i powędrowała tam, gdzie było ciało Gohana.0 Zwykle przecucie i trochę szczęścia pozwoliło mu ustawić gardę tak, by sparować to uderzenie. Zaraz potem ruszył na swego przeciwnika i po chwili ścisnęli się razem w kłinczu.

Nie mieli już ochoty na słowne przepychanki, za to obydwaj dyszeli ciężko... by po kilku wdechach znów rozpocząć morderczy bój.

Pięści zdolne kruszyć beton uderzały o zmęczone mięśnie chroniące narządy i kości, kopnięcia podrywały ciała w powietrze, czy ciskały nimi potężnie o glebę. Do tego przeraźliwie wybuchy ki, pociski, fale, eksplozja energii zdolne rozerwać planetę i strzaskać świat w posadach.

Uderzenia były coraz silniejsze, aż cały wymiar wibrował od energii, jaka płynęła od zmagających się wojowników, potężnych niczym demiurgowie... właściwie od energii jednego z nich, ponieważ drugi trzymał swoją moc jakby na uwięzi. Gdyby ktoś o czułych zmysłach bez użycia wzroku śledził to starcie, zauważyłby ogromną przewagę jednego z walczących nad drugim. Ci jednak walczyli jak równy z równym... choć cios za ciosem szala przewagi zdawała się przechylać ku jednemu z nich.

Coraz więcej uderzeń górującego – zdawać się mogło –Gohana trafiało celu. Drugi Gohan, choć trzymał swoją ki w ryzach, zdawał się mieć kłopoty. Każda komórka jego ciała wołała do niego, by uwolnić energię, odgradzona od świata niczym murem i walczyć tak, jak dotychczas. Dobrze jednak wiedział, że jeśli to zrobi, to również poniesie klęskę. Wszystkie dni bez Videl i Pan, cały poświęcony na treningi czas, próba za próbą, które podejmował – i przegrywał – by walczyć tak, jak walczą samozwańczy strażnicy wszechświatów... wszystko to pójdzie na nic, jeżeli ulegnie sam przed sobą i zamiast uczynić ze swej mocy precyzyjne i dyskretne niczym nóż skrytobójcy narzędzie, da jej szaleć jak topór targanego wściekłością bezmyślnego barbarzyńcy.

Jeśli polegnie wewnątrz, ze sobą, polegnie i na zewnątrz... też ze sobą. Uśmiechnął się ironicznie, odskakując od swojego przeciwnika, doceniwszy komizm sytuacji.

- Dość tego! – krzyknął Gohan i aż niebo zadrżało. Powietrze zamieniło się w żywy ogień, a grunt pod ich stopami zaczął pękać. Jego aura wciąż rosła, wściekła jak dzika bestia, która chce połknąć świat.

Złożył dłonie nad głową.

Błysnęło.

Tsunami energii zalało świat.

Nieznana gwiazda zajaśniała w biały dzień nad Nową Namek.

Takie anomalie nie zdarzały się codziennie. W zasadzie: nic tutaj się nie działo. Planeta była oazą spokoju i monotonii. Nameczanie nie potrzebowali wiele od życia i jeśli już się czymś zajmowali, to albo uprawą warzyw, spożywanych jedynie dla walorów smakowych, albo

pielęgnacją ogrodów, albo trzymaniem pieczy nad flora i fauna swojej nowej ojczyzny, która i bez nich doskonale sobie radziła. Mimo, że Nameczanie było nieliczni, każdy z nich cenił sobie spokój ma tyle, by mieszkać poza zasięgiem wzroku sąsiada... co na planecie w znacznej mierze płaskiej jak powierzchnia globusa oznaczało dużą odległość.

Dlatego Prippo był pewien, że nikt poza nim nie dostrzegł tajemniczego błysku gdzieś w atmosferze. Mogli to zobaczyć jeszcze jego opiekunowie, jako, że w nameczańskiej rachubie był jeszcze dzieckiem, jednak oni rzadko spoglądali w niebo. Zajmowali się raczej pielęgnacją tutejszych żab, które ponoć przypominały te z pierwszej Namek. Prippo nie znał dawnej Namek – był członkiem pierwszego pokolenia, które urodziło się tutaj, na nowej planecie. Dlatego jego skóra miała mniej wyrazisty odcień, a czułki były dłuższe. Nameczanie zmieniali Nową Namek, a Nowa Namek zmieniała Nameczan...

Takie problemy jednak nie zaprzętały głowy młodego Prippo, który postanowił – z braku lepszego zajęcia - polecieć do miejsca, które najbliższe było dziwnemu zjawisku. Jak większość młodego pokolenia, posiadał niespotykaną u starszych chęć przygody.

Nie spodziewał się, że cokolwiek tam znajdzie. Tym bardziej nie, że spotka kosmitów. Byli z nimi też Nameczanie, jednak nie spotkał ich nigdy wcześniej.

- Nie potrafię go uzdrowić. Senzu uleczyło jego ciało, jednak z jego ki dzieje się coś dziwnego... Pierwszy raz to widzę. –pochylający się nad czarnoskórym kosmitą Nameczanin wyglądał na zmartwionego.

Pozostali otaczali tę dwójkę. Niebieskowłosy kosmita z wypukłą klatką piersiową płakał.

- Niech to Poruga! – zawołał. – Prawdziwi kosmici!

Twarze wszystkich, poza nieprzytomnym, zdającym się konać, przybyszem, obrocily się w kierunku Prippo.

- Szybko! – krzyknął jeden z przybyszów, którzy wyglądali jak tutejsi. – Prowadź nas do Najstarszego Nameczanina!

Widząc, że ich miny są poważne, a jeden z nich jest chyba u progu śmierci, Prippo odłożył pytania na później. Kiwnął tylko głową i wzleciał w powietrze. Jeden z kosmitów zarzucił sobie na plecy nieprzytomnego towarzysza, drugi niebieskowłosego, który najwyraźniej też na coś chorował (może stąd ta deformacja tułowia, domyślał się młody Nameczanin) i wszyscy ruszyli za nim.

Dom Najstarszego Nameczanina znajdował się w zupełnie innej części planety, za oceanem, tam, gdzie ziemia uznana była wysokimi i stronami skalnymi formacjami, przypominającymi starszym góry prawdziwej Namek. Prippo, który potrafił latać bardzo szybko, obawiał się, czy przybysze dadzą radę za nim nadążyć. Im jednak tempo nie sprawiało żadnego problemu, więc leciał coraz szybciej, aż do granic swoich możliwości... tamci jednak byli tuż za nim. Nie widział zmęczenia na ich twarzach, jedynie zniecierpliwienie, ponieważ bardzo się spieszyli. Gdy znaleźli się w pobliżu domu Najstarszego, dwójka młodych Nameczan wyleciała im na spotkanie. Prippo znał ich. To byli strażnicy Najstarszego. Zatrzymał się, by wyjaśnić sprawę,

jednak przybysze z kosmosu nie zważali na nich i od razu pomknęli mu miejscu, gdzie przebywał wódz.

Pognali za nimi.

Kiedy wpadli do środka, zobaczyli... jak Najstarszy wita przybyłych niczym starych przyjaciół.

- Czcigodny Najstarszy. – odezwał się jeden. – Proszę, pomóż temu chłopcu z Ziemi, nie potrafię to uleczyć. Dzięki niemu udało się nam do was dotrzeć.

- Pokażcie mi go. – wychrypiął Najstarszy, a kosmici złożyli chorego na kolanach przywódcy wszystkich mieszkańców planety. Położył dłonie na jego ciele i obydwu otoczyła subtelna błękitna poświata. – Ach, gdyby był z nami poprzedni Najstarszy – westchnął – Ja sam nie umiem mu w pełni pomóc... Mogę uzdrowić jego ciało i uspokoić energię, którą coś splątało, ale przywrócić mu przytomność będą mogły jedynie Smocze Kule. Przykro mi, Dende...

- No tak! Przecież możemy przywołać Porugę! Zbierzmy je szybko i po problemie! – młodszy z nieznajomych Nameczan ucieszył się.

- Chyba to nie będzie takie proste – odpowiedział sceptycznie drugi. – Najstarszy nie powiedział nam wszystkiego... Pamiętaj, że Shenlong wskazał nam Nową Namek nie bez powodu.

- No tak! – zawołał czarnowłosy kosmita. – Ten super silny wróg! Gdzie on jest?

- Wróg? – Najstarszy zakaszał. – To prawda, na Nowej Namek przyszło na świat wiele silnych Nameczan, ale nikt nas nie niepokoi... prawie nikt...

- Jak to? – zapytał niepełnosprawny niebieskowłosy, który był zdeformowany i nie potrafił latać.

- Smocze kule... Ktoś zabrał prawie wszystkie. Ktoś je ukradł mędrcom i ukrył. Nie wiemy kto.

– wyjaśnił Najstarszy głosem pełnym smutku.

- Czyli wszystko stracone...

- Zostaniemy tu na zawsze?!

- Czekajcie, coś mi się tu nie zgadza. – znów odezwał się niebieskowłosy, widąc z głową było u niego w porządku. – Miało istnieć tu jakieś zagrożenie...

Wszyscy popadli w konsternację. Na kilka chwil zapadła cisza. Nie odzywali się też strażnicy, którzy nigdy nie było specjalnie rozmowni. Pripo też wołał nie przeszkadzać.

- Ty przewrotny smoku! – wykrzyczał starszy z przybyłych Nameczan. – Zagrożenie, no tak! Shenlong miał nam powiedzieć o jakimkolwiek zagrożeniu. Smocza kule też przecież mogą nim być!

Czarnowłosy kosmita wydawał się zdezorientowany. Jego kompan wytrzeszczył oczy, a niebieskowłosy dziwadło zazgrzytało zębami.

- Chcesz powiedzieć... że to wszystko... na nic?! – wysyczało.

- Nie koniecznie. – wtrącił się kolejny. – Ktoś ukradł kule, więc może mieć nieczne zamiary. Musimy je odnaleźć. Dla Uuba i dlatego, że na tym mogła polegać nasza misja. Tylko jak ją odnajdziemy?

- Gdybym miała choć jedną, może udałoby mi się zbudować jakiś radar. – kosmita z wypukłą klatką uśmiechnął się i odpiął kurtkę, w której podszewce, w zmyślnie zaprojektowanych kieszeniach, miał poukrywane mnóstwo niewielkich narzędzi i mechanicznych części. – Wszystkie mogące się przydać kapsułki zostały na statku, jednak to mi chyba wystarczy. - Czcigodny Najstarszy, mówiłeś, że zaginęły prawie wszystkie, tak? Ile ich zostało?

Niesamowity Saiyaman skakał wkoło trzech odgrywających złoczyńców aktorów, którzy za wszelką cenę usiłowali pochwycić i zrobić mu krzywdę... oczywiście na niby. Dzieciaki na widowni były wniebowzięte.

Pan nie obserwowała przedstawienia. Patrzyła tylko na puste miejsce na widowni, obok mamy, i powstrzymywała się od płaczu. Tata zapomniał o niej. Tak bardzo chciała, by był tutaj. Chciała, by zobaczył, jak silna się stała. Chciała, by był z niej dumny... A on nie przyszedł. Najchętniej uciekłaby stąd gdzieś daleko od wszystkich i już tam została na zawsze.

Już miała ruszyć, kiedy na raz w stronę areny pognął pędzony energią ki potężny powiew wiatru. Tumany kurzu wzbiły się w powietrze i zasłoniły cały stadion, tak, że nikt, ani z widzów, ani z uczestników, ani organizatorów, ani nawet relacjonujący całe widowisko sterowiec nie mógł nic zobaczyć. Ci, którzy potrafili wyczuwać energię życiową, przez chwilę mogli dostrzec jakby obecność jeszcze jednej osoby, ale mglista i niewyraźna. Potem wiatr obiegnął jeszcze część korytarzy turniejowego kompleksu, wrócił i... kurz opadł.

Na środku sceny stał Niesamowity Saiyaman, jedną nogą opierając się o trójkę związanych przestępców, którzy wyglądali na zdeorientowanych.

- Haha! – krzyknął, jakby wyższym niż wcześniej głosem. Sam też był jakiś bardziej postawny, jakby coś się w nim zmieniło.

Superbohater wzbił się w powietrze. Tłum oszalał. Dzieci piszczały z radości, dorośli uśmiechali się szczerze i z autentycznym zachwytem. Mister Satan był zaskoczony, bo program występu tego nie uwzględniał, nawet nie miał pojęcia, że wynajęty aktor potrafi latać, ale jak zwykle sprawiał wrażenie odpowiedzialnego za wszystko i z wyćwiczoną dystynkcją przyjmował gratulacje od starego mnicha.

Saiyaman zakręcił beczkę w powietrzu, a potem przeleciał wokół trybun, tak blisko, że pęd powietrza jaki powodował zerwał co niektórym czapki z głów.

Satan dostawał ekstazy. Już widział te wpływy ze sprzedaży figurek...

Tylko Pan była coraz bardziej smutna.

Dwa pragnienia toczyły walkę w jej dziecięcym sercu. Z jednej strony rozpaczliwie pragnęła wziąć udział w turnieju i zająć jak najwyższe miejsce, pokazać wszystkim, na co ją stać, widzieć uśmiechy rodziców... Z drugiej nie było tutaj taty i bała się. Nie chciała tu być.

Już podjęła decyzję, już miała uciekać, już ostatniej siłą wstrzymywała potok płaczu, by nie wyjść przed wszystkimi na beksę, już odwróciła się na pięcie i miała zbiec z areny, kiedy Niesamowity Saiyaman wylądował tuż przy niej.

Dziewczynka spojrzała na niego przez ramię swoimi zaszklonymi oczami, niepewna, co robić, a on położył jej rękę na głowie i zmierzwił włosy.

- Daj z siebie wszystko. – powiedział. – Wierzę, że możesz wygrać. – i uśmiechnął się.

Szybka kasku uniosła się nieznacznie, tak, że obydwójce mogli sobie spojrzeć w oczy... a potem superbohater znów wystrzelił w niebo i zniknął, już na dobre.

Mała Pan pozbyła się wszelkich obaw, wątpliwości i smutków.

Będzie walczyć!

I pokaże na co ją stać.

Wszyscy znali tę historię.

Była otoczona czcią, stanowiła wręcz świętość. Na jej upamiętnienie rokrocznie zbierali się, zazwyczaj żyjący własnym życiem, mieszkańcy całej planety, by wyrazić swój żal po stracie i swoją radość z odnalezienia nowego domu.

Dla Pripo, dla jego pokolenia, cały sens uroczystości był zupełnie obcy. Opowieść o okrutnym galaktycznym tyranie i złotowłosym wojowniku wydawała im się nieprawdopodobna w tym spokojnym i monotonnym świecie. Młody Nameczanin znał ją bardzo dobrze, jednak nie spodziewał się, że kiedykolwiek spotka istoty, które brały w niej czynny udział! A saga o zniszczeniu Starej Namek była tylko jedną z ich opowieści. Pripo był zachwycony i nie odstępował przybysze na krok, służąc im przy tym za przewodnika.

Tylko, że na tej planecie niewiele było rzeczy wartych obejrzenia...

- Jak Uub? – zapytał czarnowłosy o imieniu Gohan wychodzącego z komnaty Najstarszego Nameczanina zrodzonego na Ziemi, Picollo.

- Jego stan jest stabilny. – odpowiedział wojownik. – Nic więcej nie uzyskamy, nim Bulma nie skonstruuje radaru.

Wtem obydwaj spojrzeli mi zachodowi. Coś stamtąd wyczuwali. Po chwili Pripo go zobaczył. To nadlatywał Trunks, syn Vegety, który był sługą tyrana ale przeszedł na stronę Nameczan.

- Już! Zaraz to uruchomi! – krzyknął w locie i zrobił ostry zwrot w powietrzu.

Piccolo wystartował od razu.

Goten już miał wybić się do lotu, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o ich towarzyszu i wyciągnął do niego dłoń.

- Wskakuj mi na barana, będzie szybciej! – zaproponował z uśmiechem, a Pripo poczuł nagły przypływ sympatii do tego kosmity. Przyjął jego propozycję i już razem byli w powietrzu.

Bardzo polubił wszystkich przybyszy, nawet Picollo i tę dziwną Bulme. Przykro mu było z powodu ich towarzysza, szczególnie, że mieli taką nadzieję, że zdołają go uratować. Decyzja nie należała do niego i musiał się z tym pogodzić.

Szkoda, że ich życzenie nie mogło się spełnić...

Wylądowali przed jednym z wielu rozsianych z rzadką, nieodmiennie podobnych domów w typowym nameczańskim stylu. Mieszkał tu nieszczęśliwy reprezentant zielonej rasy imieniem Koffu. Z jakiegoś powodu to jego Najstarszy wybrał na sekretne powiernika ostatniej nie

zaginionej kuli – może właśnie dlatego, że był jednym z najmniej prawdopodobnych kandydatów. Poskutkowało. Złodziej nie znalazł jej do tej pory i nie znalazłby, gdyby nie niespodziewane pojawienie się kosmitów.

Prippo wolałby, by dzień przywołania przesunąć na później, aż ci znikną, jednak im zależało na kulach. Nie mogli pozwolić, by przybysze je wykorzystali. Jednak odkąd kryjówka ostatniej kuli wyszła na jaw, nie dało się do niej dostać.

Do tego Prippo miał wątpliwości. Czasem żałował, że został we wszystko wtajemniczony. I to tylko dlatego, że był w pobliżu gości z kosmosu. Miał jednak ważną misję do wykonania i nie mógł odmówić. Zależała od tego przyszłość wszystkich braci.

- Wreszcie jesteście! – krzyknęła niebieskowłosa. – Już miałam zaczynać bez was.

- Uwiñałem się w minutę... – powiedział pod nosem Trunks.

- Wchodźcie, na co czekacie? – ponagliła ich.

Wylądowali i weszli do domu. Urządzony był skromnie i typowo po nameczańsku, bez ozdób i jakiegokolwiek charakteru zdradzającego indywidualność jednostki... poza częścią, w której zatrzymała się Bulma.

Mimo, że przebywali tu od ledwie kilku dni, kobieta – Prippo dowiedział się już, że Ziemianie dzielą się na płci – zdążyła wyraźnie zaznaczyć swoją obecność. Nie chodziło tylko o mnóstwo wszelkiego rodzaju narzędzi i części, ale i o tak prozaiczne rzeczy jak zdjęcie rodziny w ramce przy łóżku, odtwarzacz muzyki z wbudowanym głośnikiem stale zaburzający typową nameczańską ciszę, czy nawet... firanki. Nikt nie miał pojęcia, skąd wytrzasnęła coś takiego.

- Gdzie masz radar? – dopytywał się Picollo.

- Tym razem wygląda trochę inaczej. – zaczęła wyjaśniać Bulma. – Nie miałam odpowiednich części, by zbudować kieszonkowy sygnalizator z monitorem. W zasadzie nie miałam zbyt wiele części, by cokolwiek konkretnego zbudować, ale w końcu udało mi się zrobić to! – oznajmiła z dumą, wyciągając na wierzch urządzenie przypominające grubą oponę do której zamontowano parę skrzydeł i jeszcze jakąś walcowatą baterię w środku.

Sądząc po kinach przybyłych, nie byli zachwyceni.

- Jak to niby działa? – zapytał w końcu Goten.

Kobieta spojrzała na niego z ukosa.

- Pokażę wam. – nacisnęła ukryty w urządzeniu przełącznik, a te wzniosło się w powietrze. Chwilę pokręciło się wokół własnej osi i wydało parę elektronicznych trzasków, by potem ruszyć po linii prostej w kierunku czterogwiazdkowej smoczek kuli. Gdy do niej dotarło, przywarło jak magnes.

- Teraz wystarczy przełączyć i radar podąży do kolejnej najbliższej kuli. – dokończyła z uśmiechem. – Pomysłowe, co nie?

- Trochę wolny... – skomentował ponownie Goten, który nie potrafił wyczuć momentu, kiedy z Bulmą lepiej nie zadzierać. – Znalezienie kul zajmie mnóstwo czasu.

Kobieta nachmurzyła się i poczerwieniała.

- Kule są pewnie razem, prawda? Do tego jeśli nie pasuje wam mój wynalazek, możecie ruszać bez niego, śmiało! Jak na razie tylko zbijacie baki przez całą dnie. – skrzyżowała ramiona i odwróciła się ostentacyjnie.

- Nie nie nie. – zainteresował Trunks. – To świetny sprzęt i jest nam naprawdę potrzebny mamó. – zaśmiał się nerwowo. – Pokaż nam tylko jak to działa.

- Robię to dla Uuba. – rzuciła podchodząc do maszyny. Przekręciła kolejny przełącznik i radar odezwał się od kuli, by znów zawisnąć w powietrzu. – Jak tylko złapie sygnał, ruszamy.

- Ruszamy?

- Myśleliście, że dam wam go zepsuć?! – wzięła się pod boki.

Maszyna zawirowała i ruszyła... ukośnym wektorem w kierunku ziemi, a gdy już osiągnęła jej poziom, zaczęła toczyć się w obecnym kierunku. Obijała się o przeszkody i korygowała kurs, aż wydostała się na zewnątrz.

Wszyscy ruszyli za Rafałem, który rozpędzał się coraz bardziej.

Wszyscy poza Pripo i Koffu, którego bez reszty pochłonięła pielęgnacja przydomowego ogródka.

Dla młodego Nameczanina nadarzyła się niepowtarzalna okazja. Sam nie był pewien, czy ma się z czego cieszyć.

-Prawie przegapiłeś pierwszą walkę córki. Będiesz miał się z czego tłumaczyć. –Videl zgromiła go spojrzeniem, gdy już przecisnął się przez tłum i zajął miejsce obok.

- Myślę, że chyba mi to wybaczy. – uśmiechnął się szelmowsko. Dało jej to wiele do zrozumienia i już nie była na niego taka zła.

- Udało ci się. – powiedziała już normalnym tonem. – Pokonać tamtego, tak?

- To było... – zamyślił się. – Ciężko to opisać. Z początku walczyliśmy jak równy z równym. Musiałem nieźle się wysilać, by to czymś zaskoczyć, ale on miał podobny problem. Potem... zacząłem przegrywać. Nie wiązały go żadne obietnice ani zasady, walczył jak chciał, kiedy ja musiałem nad sobą panować... Już myślałem, że to koniec.

- Ale? – dopytywała zaciekawiona. W jednej chwili uleciała z niej cała złość na męża. Zawsze imponowała jej jego siła i kochała słuchać opowieści o dawnych przygodach. Teraz czuła, jakby jej dawny Gohan, ten z młodości, wrócił i... trochę ją to podniecało.

- Ale... – zrobił krótką pauzę, by zbudować napięcie, a gdy już widział, że nie Videl nie może wytrzymać, zaczął opowieść.

Mój przeciwnik, ten drugi Gohan, który wydawał się być uosobieniem tego wszystkiego we mnie, czego nigdy nie chcę pokazać światu, górował nade mną. Próbowałem każdej sztuczki, która przyszła mi do głowy, by zyskać przewagę, jednak tylko męczyliśmy się wzajemnie... a ja męczyłem się podwójnie, ponieważ toczyłem jeszcze jedną walkę. Wewnątrz siebie, z moją własną mocą, która miotła się jak wilk w potrzasku.

Wtedy tamten zdecydował się to zakończyć. Jego manifestacja siły przytłaczała mnie. W moich oczach był niczym demon... w końcu się przekonałem, jak mogli nas widzieć nasi przeciwnicy. Tak jakbyśmy ogień zwalczali ogniem.

Skupił energię i wystrzelił w moim kierunku olbrzymią falą ki. Nie miałem jak uciec. Nie mogłem tego uniknąć.

Moc we mnie napierała na każdą komórkę w moim ciele, by tylko się wydostać, choćby za cenę rozerwania tkanek i narządów. Ostatekiem woli powstrzymałem ją, jakbym stworzył mur oddzielający ją od świata na zewnątrz. Tyle tylko mogłem zrobić. Zwyciężyć przynajmniej w jednej walce...

I wtedy stało się coś dziwnego.

Ściana wrogiej mocy dobiegła mnie i... Nie uczyniła mi krzywdy. Nie była w stanie zniszczyć muru, jaki wokół siebie zbudowałem. Moja własna ki działała tak, jak woda w zakorkowanej butelce. Nie pozwalała zgnieść mnie od zewnątrz.

Wspomniałem wszystkie lekcje Popo, kiedy próbował wytłumaczyć mi, jak działa ki.

- Otacza cię i chroni – mówił –nawet jeśli nie masz o tym pojęcia. Jak myślisz, dlaczego wasze ubrania w trakcie potyczek są tak wytrzymałe?

Czułem ki swojego przeciwnika. Była wściekła, nieokiełznana, nastawiona na ślepą destrukcję... i łatwo było ją oszukać.

- Nadajecie swojej energii cel, nawet sobie tego nie uświadamiając. –powiedział kiedyś Popo. – Gdyby nie ten szczątek waszej woli, już dawno z waszej planety zostałyby chmura kosmicznego pyłu. To jednak nie wystarczy.

I miał rację. Nie wystarczyło. Nie, by uczynić mi krzywdę. Moja moc była niczym rozszalały drapieżnik, ale oswoiłem ją. Teraz ten drugi nie mógł stanąć mi na przeszkodzie. Teraz to ja miałem przewagę – i wykorzystałem ją.

Po tak wyczerpującym ataku nie był już dla mnie przeciwnikiem. Za to każdy mój cios, każdy ruch, był szybszy i silniejszy – całe moje ciało wypełniała energia, gotowa na każde moje skinienie. Nie spodziewałem się, że będzie mi to przychodzić tak łatwo! W końcu zdecydowałem się na ostateczny cios. Atak ki, ale taki, jakim powinien być. Bez zbędnych strat, nie szalejący wokół nim ślepy żywioł, ale precyzyjny jak cięcie skalpela. Poślałem promień, a kiedy dobiegł celu, mój przeciwnik padł bez życia.

I rozwiął się w pył.

Taki był koniec...

- Zobacz, zobacz! –Videl wskazała na arenę. – Nasza córcia wychodzi! Zaczyna się!

Daleko w kosmosie, na planecie, której nigdy nie widzieli nasi bohaterowie, ani o której nie słyszeli, wylądował statek. Był jajowaty, pomalowany na czarno-biało, a na jednym z boków miał logo Capsule Corporation.

Wysiadł z niego mężczyzna o czarnych, strzelających w niebo niczym płomień włosach. W pasie ściskał go masywny brązowy małpi ogon.

Vegeta rozejrzał się wokół.

Planeta była niezamieszкана. Opustoszała, zniszczona wielką wojną sprzed tysięcy lat, nadal jeszcze nie nadawała się do życia.

Podszedł do głazu o z grubsza regularnym kształcie, który mógł być za równo wytworem jakiejś cywilizacji, jak i igraszką sił natury. Przetarł dłonią grubą warstwę kurzu na powierzchni. I uśmiechnął się.

- W końcu was znalazłem. – powiedział do siebie.